

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



KOMENTARZ OKOŁOWYBORCZY: Wyborcze alternatywy, frekwencja, mediokracja – czyli albo (anty)systemowość albo (anty)demokracja

ZZ.

ZZ.

KOMENTARZ OKOŁOWYBORCZY: Wyborcze alternatywy, frekwencja,
mediokracja – czyli albo (anty)systemowość albo (anty)demokracja
2015-05-14 19:03

[https://cia.media.pl/komen-
tarz_okolowyborczy_wyborcze_alternatywy_frekwencja_mediokracja_czyli_albo_anty_](https://cia.media.pl/komentarz_okolowyborczy_wyborcze_alternatywy_frekwencja_mediokracja_czyli_albo_anty_)

pl.anarchistlibraries.net

2015-05-14 19:03

Kurz po pierwszej turze wyborów prezydenckich jeszcze nie opadł. Zapowiada się, że długo nie opadnie, gdyż medialne szczekaczki z pewnością nie pozwolą na choćby krótkotrwałe odwrócenie uwagi społecznej od swoich chlebobdawców w momencie, kiedy owa uwaga jest im najbardziej potrzebna. W chwili obecnej wszyscy możemy się domyślać, jaką zadymę zgotują sobie i całemu społeczeństwu w najbliższych dniach dwaj główni kandydaci do urzędu prezydenta, zanim któryś z nich ostatecznie nim zostanie. Obaj już od dłuższego czasu na to – bo bynajmniej nie dla ludzi jako ich „przedstawiciele” – pracują. Obaj z całym swoim zapleczem politycznym i medialnym. Obaj z prawej strony politycznej sceny. Obaj konserwatyści. Obaj pro-zachodni, na pasku Brukseli, Waszyngtonu i Watykanu (wymieniając w kolejności alfabetycznej). Obaj ciężący w kierunku zbrojeń i polityki anty-rosyjskich prowokacji. Obaj współwinni upokarzającego stanu, w jakim znajduje się społeczeństwo. W końcu obaj zgodnie stwarzający iluzję istnienia alternatywy, jaką zdają się rysować przed ludźmi mainstreamowe media. Obaj tak samo marionetkowi i puści w swoim przekazie... Oto wybór, przed jakim staje tzw. obywatel. Daje się mu możliwość wybrania między rakiem a rakiem, bo już nawet nie pomiędzy dżumą a cholera. Już teraz można sobie zdać sprawę, że nic się nie zmieni, a przynajmniej nie na lepsze.

Jednakowoż perspektywa wyboru między rakiem a rakiem nie zarysowała się przed społeczeństwem dopiero wraz z ogłoszeniem wyników pierwszej tury wyborów prezydenckich. Wcześniej przecież również można było „wybrać” spośród łącznie jedenastu podobnych sobie kandydatów, którzy realnie niczym istotnym się od siebie nie różnili. Zostali oni – wszyscy, co do jednego – stworzeni i wypromowani przez media. Media – od *Gazety Wyborczej* i TVN-u począwszy, a na *Radiu Maryja* i *Gazecie Polskiej* skończywszy – które od zawsze usiłują przedstawić wydarzenie, jakim są wybory, jako istotę demokracji, usilnie zachęcając ludzi do udziału w nich. Przez ostatnie tygodnie *Telewizja Polska* promowała udział w wyborach za pośrednictwem ograniczonych w przekazie, prymitywnych intelektualnie i bezdennie żalonych w swej formie spotów, mających zachęcić niezdecydowanych do postawienia krzyżyka przy wybranym przez siebie nazwisku. Przy okazji każdych wyborów, przed i po ogłaszaniu ich wyników, dziennikarze, jak również zaproszeni przez nich do studia „rzeczoznawcy”, publicyści, artyści i – rzecz jasna – sami politycy, zwykli ubolewać nad niską, ich zdaniem, frekwencją, od lat nieprzekraczającą 50%. Społeczeństwu próbuje się wmawiać, że absencja wyborcza to wynik zwykłego lekceważenia, ignorowania czy olewania nie tylko tak dostojnego i znaczącego wydarzenia politycznego, jakim zdają się

panującemu systemowi to, że nie zgadza się na warunki, jakie ten ustala, i że przyjdzie czas na jego koniec wraz z nadejściem prawdziwej zmiany i realnej alternatywy. Taka demonstracja może odbywać się choćby przez bojkot oficjalnej polityki i wyborczą absencję... Zatem do nie-zobaczenia przy urnach!

BOJKOT WYBORÓW!

SOLIDARNOŚĆ NASZĄ BRONIĄ!

być wybory, ale w ogóle całego życia społecznego i obywatelskiego, przez ludzi nieświadomych, nieodpowiedzialnych i kompletnie nie interesujących się sprawami publicznymi. Zdaniem (przynajmniej tym oficjalnie wygłaszanym) dziennikarzy i parlamentarzystów, niechodzenie na wybory to oznaka totalnej obojętności oraz społecznej i obywatelskiej niedojrzałości. Mając na uwadze i w perspektywie kolejne wybory, zwykli oni odwoływać się do „sumienia”, „poczucia obowiązku” czy „historycznej odpowiedzialności” potencjalnych wyborców. Oczywiście nie robią tego ani w interesie wyżej wymienionych ani z poczucia misji, ani w czynie społecznym, a jedynie po to, by nieustannie legitymizować panujący wszem i wobec status quo. W końcu bez wyborców nie ma wyborów, a bez wyborów nie ma ich zwycięzców. Innymi słowy, brak rozstrzygnięcia wyborów, w ramach tzw. demokratycznego państwa, oznacza dla polityków brak możliwości dostępu do koryta czyli koniec złotego interesu. Politycy nie prą jednak wyłącznie na zdobywanie poparcia dla własnej opcji. Jak się okazuje, zależy im choćby właśnie na samej frekwencji. Często można się spotkać z wypowiedziami parlamentarzystów o treści: „*To ważne, by wziąć udział w wyborach, by wyrazić swoje zdanie*” albo „*Drodzy rodacy, nie jest dla mnie ważne to, na kogo oddacie głos. Ważne, byście poszli i go po prostu oddali...*”. Dlaczego zatem sama frekwencja jest dla nich tak ważna? Z jednej strony owszem, namawianie do udziału w wyborach bez względu na polityczne upodobania zakrawa na postawę godną obiektywnego męża stanu, co może polepszyć wizerunek i notowania określonego kandydata. Z drugiej jednak, jeśli propaganda pro-wyborcza zadziała, to okaże się, że kiedy jedna grupa wyborców, zachęcona do zwykłego „pójścia na wybory”, odda głos – nie ważne z jakich przyczyn – na jedną opcję, a druga, choćby przypadkowo, zagłosuje na drugą, odtąd chcąc nie chcąc identyfikując się z nią, to pozostaje jedynie kwestia nakreślenia silnej linii podziału pomiędzy jednymi a drugimi, oraz skłócenie ich poprzez wyolbrzymienie określonych cech obu stron politycznej konfrontacji...i efekt osiągnięty. W tym momencie bowiem, powstaje społeczeństwo podzielone, które gwarantuje nie tylko łatwość kierowania sobą w myśl zasady „dziel i rządź”, ale także zapewnia stałe indukowanie się wzajemną nienawiścią poszczególnych obozów i – co za tym idzie – długofalowy ich udział w wyborach, traktowanych od tej pory już nie jako jutrzeńka zmiany na lepsze, ale jako starcie wrogich stronnictw – polityczny show, utrwalający legalne pozostawanie przy władzy. W istocie cykliczne nabijanie frekwencji wyborczej spełnia swoją uniwersalną i ponadczasową rolę o tyle, że jeśli już jedna czy druga taka opcja wyraziście się zarysuje, to potem mogą powstawać kolejne formacje, które na zasadzie rzeko-

mych przeciwieństw, różnic programowych, odżegnywania się od „tamtych” czy choćby wykorzystując zwykłe zmęczenie społeczeństwa dotychczasową polityką, zyskają sobie zwolenników, którzy na jedną, góra dwie kadencje wyniosą je do władzy, aż w pewnym momencie okaże się, że ci, podobnie, jak poprzedni, nie mają nic oryginalnego do powiedzenia i na pewno nie mają też zamiaru realizować obietnic czy programu... Takie błędne koło toczy się latami i nie trzeba nikomu tłumaczyć, kto na tym zyskuje, a kto traci.

Parlamentarzystom pozostaje zatem być i gadać, reszta to zadanie dla mediów – mediów, które okazują się tak istotne i bezcenne dla polityków i tworzonej przez nich „demokracji”. Bez nich nikt nie wiedziałby nic ani o kandydatach ani o wyborczych terminach. Gdyby nie było codziennego politycznego mielenia w telewizji, radiu i prasie, to zapewne żaden człowiek nie zdążyłby ulec emocjom i zniechęcić określonej formacji czy konkretnej postaci parlamentarnej, a tym samym, w ramach realizacji założeń kampanii negatywnej, poprzeć opcji „przeciwnej”. Bo nie ma co się oszukiwać – w podzielnym społeczeństwie, z jakim mamy do czynienia, najczęściej nie głosuje się „za” kimś, tylko „przeciwko” komuś innemu wybiera się jego kontrkandydata. Można się zastanowić, czy takie postępowanie to faktycznie „wybór”. Chyba tylko tzw. mniejszego zła. Gdzie zatem sens wyboru?

Abstrahując od niekwestionowanej roli środków masowego przekazu w promowaniu i upowszechnianiu wyborczej delirki, same media nie zaistniałyby bez stojących za nimi politycznych lobby. To one nadają głównonurtowym dziennikarzom cele i pożywkę, którą codziennie można obrzucać nieświadomych odbiorców, żerując na ich emocjach i potrzebie bezpieczeństwa. To polityczne grupy interesów – po dojściu do władzy – obsadzają na medialnych stołkach poszczególne osoby i opłacają je, zapewniając jednocześnie duże profity, popularność i sympatię społeczną wielu z nich. W końcu to właśnie dzięki pozornie skłóconym politykom, dziennikarze mainstreamu uchodzą za obiektywnych mediatorów, neutralnych i panujących nad sytuacją, inteligentnych, błyskotliwych i kulturalnych (lub prowokacyjnie niekulturalnych) przedstawicieli społeczeństwa, którzy zawsze potrafią godnie i/lub sensownie przedstawić każdą informację, jednocześnie jednak umiając relatywizować każdą prawdę, opinię tendencyjnie przedstawiać jako fakt, zaś autentyczne dane kwestionować, nadawać im pozory spekulacji lub pomijać ich najistotniejsze części w sposób taki, by przypadkiem nikt nie pomyślał, że policja znowu nadużyła uprawnień, zaś strajkującym górnikom czy lekarzom chodzi o coś więcej niż tylko o kasę.

któremukolwiek z „przeciwników systemu”, już jako hipotetycznemu prezydentowi, udałoby się zmienić cokolwiek po wejściu na parlamentarne salony, czy też „demokratyczna” machina władzy – którą w istocie realnie zmienić można tylko poprzez unicestwienie, oddolnie i od zewnątrz – wciągnęłaby go i zmieliła, tworząc kolejny głos w swoim chórze samouwieblenia i samozadowolenia. Ot i cała „antysystemowość”, mająca polegać w rzeczywistości bynajmniej nie na obaleniu ale na utrwaleniu, czy wręcz umocnieniu panującego systemu ucisku, wyzysku i społecznego upokorzenia. Media w każdym razie są zadowolone, podobnie większość polityków, tylko „lewicy” pali się grunt pod nogami, ale to temat na kiedy indziej...

Mamy więc obraz zarówno tzw. demokracji, jak i tzw. antysystemowców. Mamy też pozorne alternatywy i jedynie słuszną rację serwowaną przez media. Czy zatem dalej można uważać, że jest się wolnym i rzetelnie poinformowanym, pełnoprawnym i poważnie traktowanym obywatelem wolnego kraju? To pytanie pozostaje do rozważenia. Nie skupiając się jednak wyłącznie na krytyce i negacji (negacji czegoś, co istotnie samo w sobie jest negacją wolności, sprawiedliwości i zdrowego rozsądku), dobrze jest też zwrócić uwagę na rzeczywiste i faktyczne opcje tworzenia realnej alternatywy. Otóż prawdą jest, że systemu jeszcze nikt nie rozwalił od środka. Definitywna zmiana i wyleczenie społecznej rzeczywistości z trawiącego ją nowotworu oficjalnej polityki może się odbyć tylko za pośrednictwem oddolnej inicjatywy solidarnych i współpracujących ze sobą w imię wspólnych celów ludzi. Dlatego tak ważne, zwłaszcza w dobie narastającej arogancji władzy, szerzącego się bezprawia sądów i komorników, rosnącej brutalności policji, okradania przez banki, upokarzania przez pracodawców, osiągniętej monstrualne rozmiary biurokracji, zmuszania do pracy na umowach śmieciowych, upowszechniającej się gentryfikacji, pchania mas ku zbiorowym samobójstwom, jakimi są wojny, hegemonii zatruwających środowisko naturalne globalnych multikorporacji, coraz bardziej bezczelnego zacierania prawdy przez media, odzierania ludzi z resztek godności i zasiewania pomiędzy nimi ksenofobicznej nienawiści, jest dobrowolne samoorganizowanie się jednostek ludzkich w grupy wspólnych spraw, tak w miejscach pracy, jak i w środowiskach lokatorskich, na ulicach, w grupach społeczno-politycznych, kulturowych, alternatywnych środkach przekazu informacji czy innych, niezależnych oraz skutecznających i propagujących niezależną świadomość formacjach. Nawet, jeśli droga do sprawiedliwej rzeczywistości wolnych jednostek na chwilę obecną wydaje się długa, to póki co, już teraz każdy i każda z nas – wykonując pierwszy krok w jej stronę – może na własną rękę demonstrować

wszystkim sukces mediokracji, która przewidując, że ludzie będą woleli nie pójść na wybory niż kolejny raz wybierać ten sam okłamujący i wykorzystujący ich od lat układ, stworzyła i wypromowała nową jakość polityczną – „antysystemowość”. Teraz nadszedł czas na zachwyt nad ową nową jakością – badania statystyczne i socjologiczne nowego rodzaju elektoratu, analizy jego składu populacyjnego i oczekiwań, próby – przynajmniej częściowej – ich realizacji, omamianie go przez obietnice radykalnych przemian, próby łączenia „antysystemowego” programu z systemowymi PoPiSami...i tak przez jakiś czas, dopóki społeczeństwo czasowo nie odwyknie od starego i nie odechnie poornie nowym smrodem. Za moment, historia prawie niepostrzeżenie zatoczy koło i znowu na tapetę oraz pierwsze strony dzienników wrócą zgrani gracze. Jednak póki co wszyscy doświadczamy zachwytu nad „zbuntowaną” częścią społeczeństwa. Ów zachwyt, rzecz jasna, przejawiany jest także przez nią samą. W końcu programy oferowane przez jej faworytów są ze wszech miar burzycielskie i dające poczucie zrodzenia nowej siły. Paweł Kukiz, krypto-nacjonalista, często fotografujący się w koszulkach o skrajnie prawicowych treściach, wypromował się postulatem wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych. Niby przeciwko systemowi, ale jednak ciągle chodzi o okręgi WYBORCZE. Tak czy siak, choć idea jednomandatowości może rodzić u części społeczeństwa jakieś złudnie pozytywne konotacje, to czym skutkowało jej wprowadzenie w senacie czy w co niektórych innych państwach – wiadomo – efekt okazał się, przynajmniej częściowo, paradoksalny. Jak bardzo „antysystemowy” jest zwolennik ordynarnie liberalnej ekonomii i kapitalizmu w jego najbardziej radykalnej formie, szowinista i przeciwnik jakichkolwiek demokratycznych rozwiązań, Janusz Korwin-Mikke, nie ma sensu pisać. No to może Grzegorz Braun, piewca i propagator monarchii, której podporą i zasadą działania ma być religijny fundamentalizm, chroniony najlepiej bronią atomową... Z kolei Marian Kowalski, jawny rasista i ksenofob, co do którego poglądów społecznych nie ma żadnych złudzeń i szkoda na nie każdego słowa, domaga się m.in. przejścia władzy wykonawczej w pełni przez prezydenta – czyżby kolejnym krokiem miała być władza totalna skupiona w jednym ręku? Skoro ten polski Mussolini chce podjąć współpracę z „suwerennym” władcą, jakim jest według niego Aleksander Łukaszenka, to coś w tym może być. Przyglądając się programom i przysłuchując się wypowiedziom poszczególnych „antysystemowców”, można przestać się dziwić temu, że większość z nich domaga się przywrócenia kary śmierci czy też zwiększenia wydatków z publicznych środków na bezsensowne i bezcelowe zbrojenia. Pozostaje jeszcze jedna istotna kwestia: czy

Nakreślony powyżej obraz symbiozy władzy i mediów pierwszego obiegu prowadzi do wniosku, że jedno nie ma racji bytu bez drugiego. Ta symbioza to stały i nierozłączny element „demokracji”, która w istocie nie jest niczym innym, jak tylko krypto-autorytaryzmem, w ramach którego polityczno-medialny establishment nie traktuje już nawet podmiotowo jednostki-wyborcy, ale operując pojęciami statystycznymi mówi o procentowych częściach pozbawionej świadomości masy, tym samym nadając im podmiotowe znaczenie decyzyjne. Samo słowo ‘demokracja’ to jedyne co pozostało z pierwotnego wydzwiku definicyjnej demokracji. Historyczne znaczenie tego słowa zakładało udział całych zgromadzeń ludowych i każdego ich uczestnika z osobna w podejmowaniu decyzji istotnych dla samoorganizowania się i rozwoju populacji antycznych społeczeństw. Zainteresowanie sprawami społecznymi było dla ówczesnych czymś naturalnym i wynikało z troski tak o osobiste, jak i o wspólne sprawy, oraz z poczucia indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności za tworzoną grupę. Dyskusje na forach publicznych i głosowania w określonych kwestiach nie sprowadzały się do wybierania często zupełnie nieznanym sobie „przedstawicieli”, którzy wszelkie istotne decyzje mieliby podejmować w imieniu swoich wyborców, nie ponosiliby przy tym wobec nich praktycznie żadnej odpowiedzialności i byłiby nieodwoływalni przez cały czas trwania swoich kadencji, nie wspominając o tym, że czerpaliby ze swojej aktywności korzyści materialne (notabene niebagatelnie duże), tak jak ma to miejsce teraz. W obecnych czasach, choć zasady demokracji uczestniczącej upowszechniają się coraz szerzej w co niektórych miastach, większość ludzi przywykła do serwowanej przez polityków i media tezy, jakoby zwykli, „szarzy” obywatele nie byli w stanie podejmować istotnych dla życia społecznego decyzji za pośrednictwem powszechnych zgromadzeń czy referendów z powodu swojej niekompetencji społecznej, niezajomości zasad ekonomii, technologii, edukacji czy zdrowia publicznego. Pojawia się więc pytanie o to, czym obywatele, czyli potencjalni wyborcy, mają się kierować wybierając swoich „przedstawicieli” skoro sami są niekompetentni? Jak mają rozumieć programy i zamiary wyborcze kandydatów, skoro sami się na tych sprawach nie znają? Odpowiedź jest prozaiczna, a wniosek jasny: albo polityka jest komplikowana celowo, a w rzeczywistości tylko pozornie, albo politycy tak lekceważąco i arogancko traktują ludzi, że myślą, że do zagłosowania będzie im wystarczył sam wizerunek publiczny i korzystna prewencja kandydata czy kandydatki. Oto, do czego ograniczona została rola wyborcy w procesie współdecydowania. Nierzadko dochodzi nawet do takich chorobliwie ab-

surdalnych sytuacji, że omamiony poczuciem „obywatelskiego obowiązku” wyborca idzie do urny i skreśla „byle kogo”, aby tylko zagłosować, myśląc, że wtedy będzie mógł mieć „czyste sumienie”, jako ten który „uczestniczy” w życiu społecznym. Następnie powielana jest w społeczeństwie teza, jakoby „nieobecni” (tu: niegłosujący) nie mieli „racji” albo „jeśli ktoś nie zagłosował, to nie ma moralnego prawa krytykować wyników wyborów ani posunąć władzy”. Czyżby? A może sama absencja wyborcza jest już świadomym aktem sprzeciwu wobec niezmiennego się razem z nazwą rządzącej partii czy nazwiskiem prezydenta systemu politycznego? Może ci niegłosujący ludzie na co dzień monitorują i krytykują zgubne dla populacji poczynania władzy, nie zgadzają się na społeczne wypaczenia, do jakich doprowadzają rządzący i od lat wołają o zmianę, proponując realną alternatywę, jednak są metodycznie zagłuszani i dyskryminowani? W końcu na karcie do głosowania nie było dwunastej opcji, pod tytułem: „Żaden z programów proponowanych przez powyższe osoby mi nie odpowiada” albo „Nie chcę uczestniczyć w politycznej farsie”. Ludziom faktycznie interesującym się życiem społecznym nie daje się wielkiego wyboru. Co zatem mają robić? Dlaczego mieliby się zgadzać z którymkolwiek programem wyborczym, jeśli żaden w pełni nie odzwierciedla ich wizji i poglądów czy też tylko częściowo się z nimi pokrywa? Dla części osób nieuczestniczenie w wyborach być może nie jest realizacją świadomej woli politycznej, ale raczej efektem podświadomego zniechęcenia, którego nie da się zniwelować zwykłym zagłosowaniem na kogoś „innego”. Dla innych jednak, często znacznie bardziej interesujących się życiem politycznym (niż ci chodzący na wybory) osób, bojkot wyborów to akcja polityczna. Ze zrozumiących względów, takich ludzi pomija się w oficjalnych relacjach, publikacjach czy statystykach, szufladkując ich jako nieodpowiedzialnych i „mających wszystko w dupie”. W rzeczywistości, są oni szeroko rozumianymi i faktycznymi przeciwnikami systemu jako takiego, nie zaś konkretnej jego odsłony – systemu, który w ujęciu społeczno-politycznym oznacza cały układ wzajemnych zależności pomiędzy formalną władzą administracyjną, właścicielami kapitałowymi czy hierarchiami religijnymi, którzy – wspólnie, w różnych możliwych kombinacjach – wykorzystując tworzone przez siebie zasady, zwane prawem, oraz tuby propagandowe w postaci mediów pierwszego obiegu, jak również metody nacisku ekonomicznego, „ogólnie” przyjęte i zmonopolizowane środki obrotu gospodarczego, takie jak np. waluta, „kartki” czy choćby państwowe obligacje, oraz dysponując zalegalizowaną przemocą, uciskają i wyzyskują ludzi uczestniczących w społeczeństwie,

czerpiać zyski z owoców ich pracy na rzecz rzekomego rozwoju społecznego. Nie jest istotne, jaką historyczną maskę przywdziewa system i w jakim wydaniu jawi się masom. Nie ważne, czy przybiera formę neoliberalnej socjaldemokracji, wolnorynkowej monarchii, republiki narodowej, centralnie sterowanego totalitaryzmu, nazizmu czy bolszewizmu. Forma czy też maska nie zmieniają jego istoty i założeń – system zawsze pozostaje systemem i wcale nie musi mieć twarzy konkretnie Komorowskiego, Kaczyńskiego, Palikota czy Millera... Choć obecnie tutaj to właśnie wyżej wymienione facjaty są jego najbardziej rozpoznawalnymi obliczami, to pamiętać należy, że poza nimi – a aktualnie może nawet przede wszystkim – system ma jednocześnie uśmiechniętą buźkę Piotra Kraśki, arogancką minę Moniki Olejnik, cyniczny uśmiech Adama Michnika, czy też obleśne i przepełnione sarkazmem rysy Rafała Ziemkiewicza.

W tym miejscu pojawia się kolejne zagadnienie czy też pojęcie głośne w ostatnim czasie – bycie ‘przeciwnikiem systemu’, czyli ‘antysystemowcem’. Media, którym dość często zdarza się zmieniać definicje i znaczenia konkretnych słów i określeń, a następnie skutecznie upowszechniać ich nowe użycie dla własnych celów, w przeciągu kilkunastu minionych tygodni zdążyły oswoić społeczeństwo z nowym i na wskroś nowatorskim rozumieniem wyrazu ‘antysystemowy’. Nie dostrzegając wyraźnych i zasadniczych różnic (bo i nie ma takich) pomiędzy zapatrywaniami i programami kandydatów na urząd prezydenta RP pochodzącymi spoza obecnego układu parlamentarnego, a tymi mniej lub bardziej powiązanymi z owym, przedstawicielami medialno-politycznego establishmentu nazwali tych pierwszych – o zgrozo! – ‘kandydatami anty-systemowymi’. Czy zrobili to po to aby ich ośmieszyć? Czy może po to, by ośmieszyć antysystemowość? A może i jedno i drugie? W każdym razie, pozory, jakie udało się stworzyć poszczególnym – nieznanym dotychczas – kandydatom, ograniczające się w zasadzie do ordynarnego i wzbudzającego silne kontrowersje języka oraz radykalnych propozycji, kompletnie nie mających pokrycia w realnych możliwościach, pomogły w wytworzeniu kolejnej społecznej iluzji – iluzji zaistnienia rzeczywistej alternatywy, która miałaby ostatecznie zburzyć dotychczasowy układ. Wielu totalnie zniechęconych i mających dość oficjalnej polityki ludzi, gotowych w ramach protestu nawet zrezygnować z głosowania, uległo temu nowemu złudzeniu i po raz kolejny dało się zaciągnąć do urny, wybierając tym razem „kandydata antysystemowego”. Stąd sukces Kukiza w tych wyborach, stąd też sukces Korwina-Mikke w wyborach do europarlamentu w ubiegłym roku. Pytanie, czy to faktycznie ich sukces? Być może. Jednak ich wyniki to przede